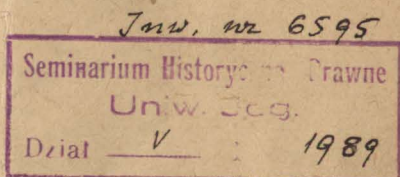


1989

JAN CZUBEK

W OBRONIE CZCI

EPILOG POLEMIKI Z PROF. BUJAKIEM
O „NAROK“



Wydz. Bibl. Prawnicza



1806099980

KRAKÓW 1928
NAKŁADEM AUTORA

W OBRONIE CZCI

EPILOG POLEMIKI Z PROF. BUJAKIEM O „NAROK“.

Rozum mężczyzną, afekt białogłową rządzi.
A. M. Fredro.

W kwietniu r. 1926 posłałem na ręce prof. St. Zakrzewskiego moją rozprawkę «Narok i narocznicy w oświeceniu językowym» z prośbą o zwrócenie rękopisu, gdyby się moja praca nie nadawała do ogłoszenia w «Kwartalniku Historycznym». Na to otrzymałem odpowiedź pod d. 9 czerwca, w której nazwano mój artykuł «tak ciekawym» i w której wyczytałem jeszcze ciekawszą wiadomość: «Bujak już artykuł czytał i oświadczył się za drukowaniem». Rozprawka moja pojawiła się w ostatnim zeszycie Kw. Hist. r. XL, który wyszedł ze znacznym opóźnieniem. Dlaczego? — Bo prof. Bujak nie mógł się jakoś wyguzdrać ze swoją polemiką, którą umieścił tuż po moim artykule p. t. «Jeszcze o naroku». Wina jednak opóźnienia, jako też przemycenia artykułu polemicznego do działu rozpraw, nie spada na redaktora czasopisma, prof. Ptaśnika, bo oto, co mi pisze pod d. 5 lutego 1927 r. na moje uwagi co do umieszczenia pisma prof. Bujaka w dziale rozpraw: «Uwagi zupełnie słuszne. Na artykuł prof. Bujaka czekałem długo, bo o artykule mówił, wskutek czego zeszyt się opóźnił. Nie przypuszczałem, żeby to tylko zwykła polemika. Proszę o nadesłanie polemiki możliwie krótkiej, umieszczoną będzie w 1-szym zeszycie 1927». Pismo moje, posłane 5 marca 1927, nie pojawiło się jednak w Kw. Hist. ani w 1-szym zeszycie r. 1927 (zresztą bez winy redaktora), ani w zesz. 2-gim, ale dopiero w podwójnym zesz. 3-cim i 4-tym, który wyszedł w końcu grudnia z. r., czy też w początku stycznia b. r., a tuż po nim umieszczono «Replikę» prof. Bujaka, której mi w korekcie nie przysłano, mimo wyraźnej obietnicy w liście z d. 4 maja: «Prof. Bujak domaga się wydrukowania polemiki, równocześnie jednak napisał odpowiedź, którą prześlę p. Prof(esorowi), ażeby

to, co było «na rok», nie przewlekło się na drugi». «Repliki» w korekcie nie otrzymałem, a kiedy zapytałem redaktora Kw. Hist., czy wydrukuję (na mój koszt) moje uwagi na niesłychane twierdzenia prof. Bujaka, otrzymałem odpowiedź (12. I. b. r.), że na mocy zwyczaju, jakiego się trzyma Kw. Hist., ostatni głos ma recenzent. Pięknie, ale w takim razie gdzież *nobile verbum*? Czy p. Ptaśnik nie znał tego zwyczaju w dniu 4 maja z. r.? Sprawa przedstawia się tak. Jeżeli artykuł prof. Bujaka «Jeszcze o naroku», umieszczony między rozprawami, jest istotnie rozprawą, jak chce prof. B., to w takim razie ja, niżej podpisany, jako recenzent tej «rozprawy», mam na mocy zwyczaju ostatni głos, którego mi jednak odmówiono. Jeżeli zaś, jak słusznie utrzymuje prof. Ptaśnik, artykuł prof. B-a jest «zwykłą polemiką», przemyconą pomiędzy rozprawy, to jużćie na mocy zwyczaju nie miałbym po «Replice» głosu. Zwyczaj ten jednak, jeżeli wogóle istnieje, dobry jest tylko w normalnych wypadkach, kiedy obaj przeciwnicy posługują się bronią godziwą, t. j. argumentami. Ale jeżeli jeden z polemikantów (*sil venia verbo*) pragnie poniżyć przeciwnika, zadając mu nieuctwo, głupotę i, co gorsza, odsądza go od czci, zarzucając mu złą wolę i nierzetelność, to już w takim razie nie godziłoby się chyba zamykać szpalt czasopisma sponiewieranemu autorowi i zwyczaj mógłby sobie na ten raz spokojnie iść spać. A jednak «polemika została zamknięta» i dlatego, nie przypuszczony do głosu tam, gdzie to już po raz wtóry mię obrzucono błotem, musiałem oto publicznie wystąpić w obronie mojej czci i ogłosić osobno ten epilog polemiki o narok, która nie z mojej winy przeciągła się na drugi rok.

Przyjrzyjmyż się tedy zbliżka owej tak szczęśliwie nareszcie po 9 miesiącach (marzec-listopad) narodzonej «Replice» prof. B-a.

Muszę zgóry zaznaczyć, że polemika z prof. B. jest niemal niemożliwa. Zwykli śmiertelnicy na zdanie przeciwnika przytaczają argumenty; prof. B., jakby nieomylnością obdarzony, wygłasza *ex cathedra* z niezachwianą pewnością siebie swoje nieomyłne wyroki: «Rozprawka moja wykazała pozytywnie» lub «stwierdziła», a dalej «wykazałem... wykazałem». Mówią, że dobre o sobie rozumienie stanowi połowę szczęścia. Ale przecie możeby ten sąd pozostawić raczej badaczom, którzy po zbadaniu obustronnych argumentów rozstrzygną, kto co wykazał «pozytywnie» lub stwierdził. Żeby im tę pracę ułatwić, pokażę już na pierwszym przykładzie, co warte te nieomyłne wyroki prof. B-a.

«Rozprawka moja wykazała pozytywnie, że praca prof. Czubka p. t. *Narok i narocznicy* nie przynosi nic nowego w tej kwestji prócz przypuszczenia» i t. d. — Doprawdy? — Więc któż przede mną podał takie oświecenie naroku ze stanowiska językowego? Kto dopatrzył się związku «ludzi grodu krakowskiego, odbywających straż na Myślimickiej bronie», z ludźmi innych grodów, nazwanych wyraźnie narocznikami? Jeżeli moja rozprawka nic nowego nie przyniosła, prócz przypuszczenia, które «należy do dziedziny poezji», a nie nauki, to jakim czołem tenże prof. B. mógł oświadczyć się za drukowaniem tej nędznej ramoty? Cale szczęście, że w Warszawie w Min. W. R. i O. P. nie czytają Kw. Hist., boby gotowi cofnąć — całkiem słusznie — zasilek pismu, które takie bajdy drukuje. Tu jeszcze skromna uwaga. Pewna myśl, przypuszczenie, na które niema jeszcze dostatecznych dowodów, ale za którymi, przemawiają pewne okoliczności, nazywa się hipotezą, która, jak wiadomo, odgrywa w nauce (nie tylko historycznej) znaczną rolę. Otóż moja hipoteza, którą starałem się uzasadnić, że osada grodowa w razie oblężenia odgrywała rolę naszej artylerji (tylko nie ciężkiej, bo to jest dodatek sumiennego przeciwnika), ta moja hipoteza należy nieomylnie, zdaniem prof. B-a, do dziedziny poezji, a nie nauki. Ale w takim razie, do jakiej też dziedziny należy cały «narok» prof. Bujaka? Bo, że pewnikiem historycznym nie jest, najlepszy dowód, że się spotyka ze sprzeciwem. A teraz rzecz inna. W mojej «Odpowiedzi» twierdziłem, że artykuł prof. B-a «I jeszcze o naroku» nie jest rozprawą, lecz krytyką, pismem polemicznem, które niewłaściwie dostało się między rozprawy, może w tym celu, żebym nie mógł na nie odpowiedzieć zaraz w tym samym zeszycie Kw. H-go. Na to w «Replie» prof. B. trzy razy powtarza «rozprawka» jako tytuł swego pisma, uzasadniając to tem, że jego «rozprawka wykazała pozytywnie» negatywny wynik, t. j. brak czegoś nowego w tej kwestji. Czy na to trzeba było aż rozprawy? Toć to zadaniem krytyki, i na to jest osobny dział w Kw. H-ym. I to jest nie tylko moje zdanie, bo to samo utrzymuje redaktor Kw. H-go, który, wprowadzony w błąd przez prof. B., umieścił jego polemikę między rozprawami (por. wyżej). Mamy tu więc zabawne widowisko: redaktor, gorący stronnik prof. B-a, mówi: «Strzyżono». — «Nieprawda! Golono, golono i jeszcze raz golono!» — woła prof. B. — O wieszczu nieśmiertelny, jakżeś srodze ukrzywdził ród niewieści!

Przechodzę do szczegółów. Zarzuca mi więc naprzód prof. B., że nie dotykam obecnie już pewnych kwestyj. Nic łatwiejszego, jak rozpisywać się długo i szeroko o rzeczy i nie do rzeczy; ale czyby «odpowiedź» (i tak przydługą), rozdętą do rozmiarów rozprawy, przyjął redaktor czasopisma? I obecny «Epilog» musi się kurczyć i skracać, gdyż inaczej nadszarpnąłby niepomrotnie, a może i zupełnie wyczerpał skromny «fundusik p. Wolnego», a nie chciałbym przecie odbyć mojej ostatniej wędrówki (na Rakowice) — na kredyt. Mój przeciwnik jednak lubuje się w gadulstwie. Przykład — długa pustologia o miłości, którą można było zastąpić jednym druzgocącym zdaniem, że i polska bohaterka na scenie tak samoby błagała na klęczkach o miłość, jak ruska, bo miłość polska i ruska — to jedno. Zamiast tego częstuje mnie prof. B. wykładem o różnych rodzajach miłości,¹ stwierdzając z zadowoleniem (*habeat sibi!*), że «z tą miłością nie mam szczęścia» (Ej, chyba się już zastrzele!), i kończy takim znamienym dla swej umysłowości zwrotem: «Za naukę, że ze słownika trzeba umieć korzystać, mogę się zatem p. Czubkowi odplacić równie cenną nauką, że ze słownika nie wolno korzystać nawet staremu językoznawcy». Nawet staremu językoznawcy! A więc i młodemu tem bardziej nie wolno, a ponieważ pracownicy na polu językoznawstwa są albo młodzi albo starzy, zatem wszystkim wogóle językoznawcom nie wolno korzystać ze słownika. Komuż więc wolno? — Oczywiście wszystkim pracownikom na polu naukowym z wyjątkiem językoznawców, a przede wszystkim wolno historykom, bo przecie prof. B. i przedtem korzystał, acz nieumiejętnie, ze słownika warszawskiego i teraz znowu w «Replice» korzysta ze słownika gwar Karłowicza, nie mówiąc już nic o licznych wypisach z różnych słowników w poprzednich pracach o naroku. Zdaje się jednak, że zakaz prof. B-a, wbrew wszelkiej logice, obejmuje mnie tylko jednego, nieszczęśnika — i tu muszę podziwiać dowcip i pomysłowość autora «Repliki»; jeżeli bowiem prof. B-i wolno korzystać ze słownika, a mnie nie, to jakimże sposobem mogę w danym razie znowu wykazać, że prof. B. ze słownika korzystać nie umie? Zakaz zapobiega raz na zawsze tej arcy-niemilej możliwości.

¹ Żeby mnie pognać swoją uczenością, sięgnął prof. B. nawet do teologii i obdarzył świat katolicki tezą, że «miłość Boga do ludzi jest niewątpliwie litością» (str. 652). Trzech doktorów teologii uznało, że twierdzenie prof. B-a *sapit haeresim*

Ale prof. B. jest nie tylko srogim zakazodawcą, lecz także krotchwilnym figlarzem. Napsuwszy tyle papieru i atramentu na udowodnienie, że między polską miłością a ruską miłością niema żadnej różnicy, naraz oświadcza, że «o różnicy tej słyszał już przed trzydziestu laty», a więc tej różnicy nie zaprzecza. A toż ja właśnie twierdzę to samo, i nic innego; więc pocóż cała gadanina o rodzajach miłości, zakończona triumfalnym okrzykiem: «Z tą miłością p. Cz. nie ma szczęścia»! Wobec takiej argumentacji stoi bezradnie logika i z rozpaczyny załamuje ręce. Wkońcu, z właściwym sobie znawstwem, wyrokuje prof. B., że podobne zestawienia wyrazów z pokrewnych języków «służą do zabawy towarzyskiej, a nie mają znaczenia naukowego». Ano tę «zabawę towarzyską» uprawia prof. B. już od lat przeszło dwudziestu, zestawiając czeski *narok* z polskim *narokiem*, z tą tylko różnicą, że nie dopatruje w znaczeniu żadnej różnicy.

Następują dalsze popisy językoznawcze. Po wiekopomnem odkryciu nieistniejących imiesłów biernych i po «przypadkowej pomyłce» na temże polu, można się było słuszenie spodziewać, że prof. B. spocznie na zdobytych już laurach i oszczędzi mi dalszych tego rodzaju wywodów. Stało się inaczej. Prof. B. znowu odkrył — tym razem we mnie — coś takiego, o czemem sam nie wiedział, twierdzi bowiem z zupełną pewnością: «Prof. C. przypomniał sobie»... A ja, prostak, myślałem, że to oddawna wiem i że nie potrzebuję sobie dopiero przypominać rzeczy, która wcale pamięciową nie jest. Poniżanie przeciwnika należy do metody prof. B-a; *crescit Roma Albae ruinis* widocznie utkwilo głęboko w pamięci. No, ale «zapomniałem» — po przypomnieniu tedy zapytuje mię prof. B., «dlaczego teraz jeszcze nie chcę przyznać możliwości tego samego znaczenia słowa «narok» w tych dwóch językach». Ależ zgoda: możliwości nigdy nie przeczyłem i nie przeczę; nie zgadzam się tylko z logiką prof. B-a: *A posse ad esse valet illatio*.

A teraz Zaduszniki. Jest to istotnie odstraszący przykład dla historyka, udającego językoznawcę. Twierdziłem, że zestawieniu z *zadusznym* *zadusznik* nic zarzucić nie można. Z tego zrobiło się w «Replique», że mojemu wywodowi *zadusznik* — cierpiący na zadyszkę, nic zarzucić nie można, czego wcale w «Odpowiedzi» nie twierdziłem. Prof. B. pomieszał tu dwie rzeczy: językowe zestawienie *zadusznym* *zadusznik* i znaczenie czyli treść wewnętrzną tych dwóch wyrazów. Pierwszemu nic zarzu-

cić nie można; co do drugiego, może historia dostarczyć dowodu, że pewien wyraz obok znanego znaczenia, może mieć jeszcze inne. Objaśniając znaczenie wyrazu *zaduszný*, oparłem się na słowniku Lindego. Prof. B. zawyrokował, że się dopuścił jednostronności. Pocięszam się tem, że nie tylko ja, ale i wszyscy językoznawcy dopuszczają się tego grzechu, bo wszyscy jednostronnie opierają się na słownikach. Jeżeli jednak prof. B. udzieli im ze swej skarbnicy historycznej zupełnie pewnej wiadomości, że jakiś wyraz ma jeszcze inne, dotąd słownikom nieznanie znaczenie, to jak najskwapliwiej skorzystają z badań historyka. Cóż więc nowego powiedział prof. B. o Zadusznikach? — Nic. «W Czechach istnieją wsi Duszniki, w Polsce jest takich wsi 4... G. Friedrich wyraz *dusznik* identyfikuje z wyrazem często spotykanym w dokumentach czeskich z 11 i 12 wieku, *animator*» (str. 376). Zestawienie *dusznik* — *animator* przemawiałoby właśnie przeciw *zadusznik* — *animator*; jeżeli bowiem już urobiła się i przyjęła nazwa *dusznik*, to inny wyraz na to samo pojęcie byłby zbędny i twierdzenie prof. B-a, że «takie inne znaczenie istnieje» jest przedwczesne; czekamy na nowe dowody.

Wreszcie ostatni popis językoznawczy prof. B-a. «Stanowisko prof. Cz. w sprawie «naročenców» jest sprzeczne z zasadami metody naukowej» i t. d. (str. 653). Ależ pierwszą i naczelną zasadą metody naukowej — nie mówić o tem, czego się nie zna i nie rozumie: *naročenicy* byliby *naroczenicy*, a nie *narocenci*, jak chce prof. B., a zatem odpada — niestety — mój «postulat językowy», niby to stwierdzony w dokumencie. — A tak się puszyłem tem przyznaniem przeciwnika — przez chwilę, wnet bowiem rozwił się ten piękny sen o wielkości. Druga zasada — nie «omawiać» rzeczy powszechnie uznanej, a więc nie-spornej, bo to już traci gadulstwem; «omawiać» *naročenici* (ten sam książę pisze w innym dokumencie *narochnici*) znaczyłoby tyle, co dowodzić, że rzeczka pod Krakowem nie nazywa się *Prandenik*, jak zapisano w dokumencie z XIII w., lecz *Prandnik* (dziś *Prądnik*), jak czytamy w tym samym dokumencie. Nawiasowo dodam, że mimo twierdzenia prof. B-a, że «dokument błędów ortograficznych nie wykazuje», pisarz, widocznie Niemiec, pisze *dan n i z a* zam. *donica*, *Trebnitz* zam. *Trzebnica* i wogóle nazwy polskie na swój sposób przekręca. — Dlaczego mój «dowcip z naročzykami», słusznie zresztą nazwany «poronionym, bo się opiera na pierwiastku *ron*, ma być koniecznie «zmy-

śleniem»? — Prof. B. jest dziwnie pobłażliwy — dla siebie. Jeżeli sam poprzekręca ustęp z mojej rozprawki, tak że powstają stąd na mój rachunek potworne brednie, to się nazywa «przypadkowa pomyłka»; jeżeli ja opuszczę jedną, nieszkodliwą zresztą, literę, to nie jest to pomyłka, tylko rozmyślne zmyślenie, nawet zupełnie mi niepotrzebne, bo n a r o n c i n c o n e s (narończynkowie) jeszcze lepiej się do tego celu nadawali.

Ale to wszystko dopiero podjazdowe utarczki, mające osłabić, czyli, jak dawniej mówiono, zahukać nieprzyjaciela. Walna bitwa rozstrzygnie o czterech punktach, których wedle prof. B-a «nie udowodniłem, względnie ¹ nie uprawdopodobniłem» (str. 653). Te cztery punkta — to właśnie treść mojej rozprawki «Narok i narocznicy». Na nicby się zdało powtarzać tu jeszcze raz przytoczone tam argumenty; żeby je ocenić, na to trzebaby więcej spokoju, przedmiotowości i — filologii, niż ich posiada prof. B. Nie mogę jednak pominąć milczeniem ostatniego pytania prof. B-a: «Gdzie Rzym — gdzie Krym?» (str. 653). Jeżeli narocznicy w 13 wsiach małopolskich są Rzymem, toć i *debita servitia* do tego Rzymu należą, gdyż książę opolski nadaje Klemensowi *has omnes villas cum hominibus* (z narocznikami) *et cum debitis servitiis*, z należnemi niewolami (według prof. B-a), a «z należnemi posługami» (wedle mego tłumaczenia). Oczywiście cytat nie mógł przypaść do smaku prof. B-i. Ale czego już zgola pojąć nie mogę, to zarzutu, że te *debita servitia* nazwałem wtedy bliżej nieoznaczoną posługą. Oczywiście, bo w tej części rozprawki więcej o nich powiedzieć jeszcze nie mogłem i objaśnienie tych posług musiało nastąpić później.

Następuje gruba Berta całej «Repliki», zarzut najcięższy (po nierzetelności): «...czysta niedorzeczność, popełniona przez prof. Czubka, nie wiem, czy przez nieuwagę, czy przez niezdolność zrozumienia jasnej mojej argumentacji, czy też ze złej woli». Nawet się nie dziwię i po ludzku rozumiem tę furję, jaka przeziiera ze słów przytoczonych: przecież tu chodzi o samą podstawę, jedyny

¹ Żeby też już raz powstała ta Akademia Literacka, która ma się zaopiekować językiem, tak strasznie kaleczonym nawet przez uczonych tej miary, co prof. B. Co to znaczy względnie uprawdopodobnić? Ze związku domyślam się, że miało być: lub przynajmniej, a nawet uprawdopodobnić. Ale ponieważ Niemiec używa w takich wypadkach słowa *beziehungsweise*, więc trzeba to niewolniczo przetłumaczyć. A przecież mamy niepodległość (tylko nie językową).



filar kryminalnej teorii naroku, który tak niemiłosiernie podpiłowałem już w rozprawce «Narok i narocznicy». Nie udało się wprowadzić naroczników-skazańców drzwiami, może się uda przezmycić ich jakim okienkiem zapomocą «jasnej argumentacji». Ano zobaczmy, na czym też oparł prof. B. moją, nie wiedzieć, czy nieuwagę, czy głupotę, czy złą wolę? «Dokument mówi — słowa prof. B-a — że wieś należała niegdyś do naroczników, to znaczy, że niegdyś była ich własnością» — w oryginale: *Homines, quorum haec quondam fuit villa* (Węgrzynowo), *narochnici Lubusenses fuerunt*, dosłownie po polsku: «Ludzie, których niegdyś ta wieś była, byli to narocznicy lubuscy». Rozumuję: ponieważ narocznicy — rzecz to niesporna — nie mogli być właścicielami, przeto zwrot *quorum haec quondam villa fuit* nie może oznaczać własności. Żeby to twierdzenie uzasadnić, powołuję się na moje cytaty (str. 365, przyp. 2), z których dla krótkości tylko pierwszy przytoczę: «...contulimus alias villas hominum meorum, qui lingua polonica narochnici dicuntur»... «daliśmy (na własność) inne wsie moich ludzi, którzy w jęz. pol. nazywają się narocznikami». Otóż gdyby te wsie były własnością naroczników, to książę, rzecz prosta, nie mógłby cudzej własności nikomu dawać. Takich cytatów, w których przyp. 2-gi nie oznacza własności, jest w mojej rozprawce sześć (str. 363, 365, 371), lecz mógłbym służyć całemi kopiami. Ale co tu daleko szukać. Prof. B. sam cytuje: «Wł. Odoniez nadaje *villam Ostrovile nomine, que fuit meorum decimorum et narocnikorum*».¹ Więc wieś była własnością dziesiętników i naroczników książęcych? Cóż na to prof. B.? — Oto moje cytaty nie tylko «nie dowodzą niczego przeciwnego, ale wogóle nic nie mówią w kwestji omawianej w tym wypadku przeze mnie, t. j. w jaki sposób ludzie stawali się narocznikami... Zawsze i wszędzie pomijam cytaty, które do rzeczy nie należą i tego ucze moich uczniów». Czyż to nie typowy przykład kręactwa? Chodzi o znaczenie zwrotu «*quorum... villa fuit*», t. j. czy narocznicy byli właścicielami. Prof. B. zbywa mię naprawdę niedorzecznem twierdzeniem, że moje cytaty niczego przeciwnego nie dowodzą, t. j. że narocznicy lubuscy nie byli właścicielami, a wreszcie jakby dodatkowo do «Dróg mojego rozwoju umysłowego», spowiada się publicznie: «Zawsze i wszędzie pomijam cytaty, które do rzeczy nie należą, i tego ucze moich uczniów». Jeżeli replikant zawsze

¹ Studya nad osadnictwem Małopolski (Rozpr. Ak. Um. Wydz. hist.-filozof. T. 47, str. 279, przyp. 2).

i wszędzie pomija milczeniem takie właśnie cytaty, jak moje powyżej przytoczone, jako niby do rzeczy nienależące, to mam podstawę twierdzić, że prof. B. jest lichym nauczycielem i liczy chyba na to, że każdy z jego uczniów musi być głupi. — Wracam do «jasnej argumentacji». «Wieś (Węgrzynowo) niegdyś była ich (naroczników) własnością, bo posiadaczami, względnie użytkownikami byli oni w chwili nadania...» Ano dobry mostek, ino że go to tam niema. Narocznicy nie mogli być w chwili nadania «posiadaczami, względnie użytkownikami» Węgrzynowa z tej prostej przyczyny, że siedzieli wtenczas — w Bryłowie, co prof. B. znowu swoim zwyczajem przeoczył.¹ — A teraz pytanie: jak się przedstawia myśl i znaczenie przytoczonego ustępu na tle sporu o tę właśnie wieś między księciem Henrykiem Brodatym a niejakim Leonardem? — Książę przyznaje w dokumencie, że między nim a Leonardem toczył się spór o własność wsi Węgrzynowa, gdyż Leonard *ipsam* (wieś) *dixit esse suam* (na jakiej podstawie, nie wiemy). Na to odpowiada książę, że wieś jest jego własnością, gdyż w Węgrzynowie siedzieli niegdyś (przed przeniesieniem ich do Bryłowa) jego (lub może ojca) narocznicy, a przecie na cudzej własności siedzieć nie mogli. Ale książę widocznie nie bardzo wierzy w słuszność swej sprawy, gdyż wzamian za Węgrzynowo daje Leonardowi dwie inne wsie, a ten zrzeka się prawa własności do Węgrzynowa na rzecz — nie księcia, lecz klasztoru trzebnickiego. Ale prof. B. twierdzi, że narocznicy byli niegdyś właścicielami Węgrzynowa i następnie dopiero musieli stać się narocznikami. Jeżeliby istotnie tak było, toć Węgrzynowo na mocy wyroku (czyli naroku, wedle teorii prof. B-a) stało się bezsprzeczną własnością księcia, a wystawca dokumentu z r. 1203 byłby ostatnim tumanem, dając za swoją własną wieś dwie inne wsie i zyskując za to — guzik, bo Leonard, wycyганиwszy dwie wsie za nic, jeszcze całą zasługę podarunku cudzej wsi wyłącznie sobie przypisał, oświadczając, że Węgrzynowo od siebie odstępuje klasztorowi. Ale książę — to frant nielada; jakże zgrabnie maskuje swoje głupstwo: «Leonard odstępuje łaskawie moje Węgrzynowo klasztorowi; a więc łaska za łaskę: zamiast chodzić do prawa, daję temuż Leonardowi z łaski dwie wsie wzamian za moje Węgrzynowo». «*Dumm san ma scho, aba pfiffi aa!*» — «Czyściutka

¹ Por. R. Grodecki: «Książęca włość trzebnicka» (Kw. H. r. 26, str. 469).

niedorzeczność», popelniona, nie wiedzieć, czy przez nieuwagę, czy przez głupotę, czy też ze zlej woli — przez kogo?

Zarzuca mi prof. B. w dalszym ciągu balamuctwo. Kto balamuci, okaże się z zestawienia twierdzeń prof. B-a. Na str. 379 w przyp. mówi o narocznikach lubuskich; jeżeli więc («Narok» 7) uznaje naroczników grodów nadnoteckich, toć narocznicy lubuscy będą chyba narocznikami grodu lubuskiego, a więc grodowi; a może byli dwojacy narocznicy: grodowi i niegrodowi? Ale na str. 383 czytamy znów: ...«narocznicy podlegali księciu jako panującemu, gdy Trzebnica była włością, nie wchodzącą w ogólną organizację grodową». — Str. 381: «...przeoczyłem, że narocznicy w Węgrzynowie nie należeli do włości trzebnickiej przed założeniem klasztoru», str. 383: «...narocznicy (węgrzynowscy) podlegali księciu jako panującemu, gdy Trzebnica była jego włością», a więc przed założeniem klasztoru.

Dotąd traktował mnie mój przeciwnik-replikant wyniośle, przypisując mi nieuctwo, a nawet popelnioną niedorzeczność; teraz spadam już do roli sztubaka, o którym w tonie bakalarskiej wyższości dosłownie tak się odzywa: «Widocznie ze zbyt małego podręcznika, albo zbyt pośpiesznie uczył się prof. C. tego (rzymskiego) prawa, kiedy sądzi, że cechą charakterystyczną niewoli jest zupełny brak jakichkolwiek praw». Cóż na to powiedzieć? — Za moich lat młodzieńczych, a więc mniej więcej 60 lat temu, łazili po wsiach dziś województwa krak. t. zw. sidziniarze, t. j. apostołowie, którzy chlipnąwszy coś niecoś z nauk po całych dniach wygłaszanych przez zbyt gorliwego księdza, proboszcza w Sidzynie pod Babią Górą — biedaczek, nie znalazł dwóch (z trzech) złotych maksym 100-letniego bernacha, zapewniających spokój i długi żywot: «*Sine mundum ire, sicut il*» i «*Funge tua officia qualiter taliter*»¹ — opowiadali następnie ku niemałemu utrapieniu t. zw. jabconiów, t. j. innych proboszczów wiejskich, znających i wyznających owe maksymy, jakąś nową niby ewangelję ciemnym rzeszom prostaczków. Owóż zdarzyło się, że jeden z tych sidzińskich apostołów na bardzo liczne zgromadzeniu w wiosce, sąsiadującej z moją wsią rodzinną, na którem było też kilku moich najbliższych rodaków — i od nich to właśnie na gorąco słyszałem — owóż pobożny sidziniarz, czytając swoim słuchaczom żywot ś. Stanisława (z Żywotów Skargi), doszedł do tego miejsca:

¹ Trzecia złota maksyma: *De patre guardiano nil nisi bene*.

(Wielisław i Bogna) «...będąc bez plodu już w długiem mieszkaniu, obiecali P. Bogu, jeżeli by im dał owo życie i ich, obrócić na chwałę jego». Tu zamknął księgę mąż święty i zapytał tonem wyższości: «A rozumiecie wy to, kochani ludkowie? — To to, widzicie, ta pani przez długie lata chodziła w ciąży, a nie mogła porodzić. Dopiero, kiedy itd.». Jedna tylko baba i jeden chłop spojrzeli po sobie, ale nie śmieli się odezwać — piękny przykład odwagi cywilnej, spotykany nie tylko na wsi. — Wracam do nauk, tak łaskawie mi udzielanych przez prof. B-a, a mających oświecić moje nieuctwo w zakresie «praw» niewolników w Rzymie. Ale przedtem małe sprostowanie. Ani ze zbyt małego podręcznika, ani zbyt pośpiesznie nie uczyłem się prawa rzymskiego, bo tego nie potrzebowałem; potrzebne filologowi wiadomości co do stanowiska niewolników w Rzymie wyniosłem już z uniwersytetu, słuchając wykładów z zakresu filologii klasycznej w latach 1869—1872, a więc w czasie, kiedy prof. Bujaka jeszcze na świecie nie było. Natomiast mój mistrz, wykładający mi «prawa» niewolników, czerpał swą wiedzę, jeśli wszystkie poszlaki nie mylą, z doskonałego zresztą i dużego podręcznika Fr. Zolla¹ (starszego), tylko że jasny wykład autora tak dobrze zrozumiał, jak ów sędziiniarz opowiadanie Skargi. Podręcznik tak określa niewolnictwo (str. 267): «Przedmiotem prawa są rzeczy, do rzędu których Rzymianie zaliczali także niewolników, nie przyznając im zdolności prawnej»; zaraz potem jest mowa o zdolności naturalnej niewolnika. Nie tylko dla prawnika, lecz nawet dla profana jest rzeczą jasną, że niewolnik miał zdolność naturalną, ale nie miał zdolności prawnej, t. j. nie mógł być podmiotem prawa, że zatem nie posiadał żadnego prawa. Jakże to rozumiał prof. B.? — Nieprawda, jakoby charakterystyczną cechą niewoli był zupełny brak jakichkolwiek praw, bo to, widzicie, ludkowie, «przecież niewolnik rzymski miał tak zwaną osobowość naturalną, był zdolnym do działań prawnych jako pełnomocnik swego pana». — Ej, panie profesorze, niewolnik, zwłaszcza młody, był zdolny i do innych jeszcze działań prawnych, może nawet zdolniejszy od swego pana, np. do zawarcia małżeństwa z wolną Rzymianką, tylko że z tej zdolności naturalnej korzystać nie mógł, bo nie posiadał zdolności prawnej! Pomieszało się w uczonej głowie mistrza pojęcie zdolności prawnej z pojęciem zdolności na-

¹ Fryderyk Zoll: Pandekta czyli nauka prawa rzymskiego prywatnego. Kraków 1914.

turalnej. Rzymianin, człowiek praktyczny, jak rzadko, korzystając z zdolności naturalnej niewolnika, używał go w pewnych wypadkach jako wygodne narzędzie do spełnienia pewnych czynności prawnych; gdyby osiel posiadał inteligencję i mowę, t. j. zdolność naturalną, toby się z pewnością wyręczał oslem; ale czyby osiolek przez to posiadał jakie prawa? Niewolnik czy osioł był rzeczą i żadnych praw nie posiadał; *servile caput nullum ius habet*, mówi krótko, ale dosadnie (na leżce str. w przyp.) prawnik rzymski, Paulus, co znów swoim zwyczajem prof. B. przeoczył. — Ba, ale prof. B. zrobił znowu odkrycie: «niewolnik rzymski był dopuszczony do *ius sacrum*». Piękne mi *ius sacrum* niewolnika, jeżeli związek między niewolnikiem a niewolnicą nie tylko nie mógł być uświęcony na mocy tego *ius sacrum* przez t. z. *confarreatio*, ale nawet nie był uznany za *matrimonium* i zwał się tylko *contubernium* (współżycie), które pan mógł w każdej chwili zerwać. Ale skąd mógł wytrzasnąć prof. B. to *ius sacrum* niewolnika? — Zagadkę wyjaśnia podręcznik prof. Zolla, w którym czytamy (str. 269): «Niewolnik mógł być członkiem związku sakralnego, a miejsce, gdzie go pochowano, stawało się *locus religiosus*». — «Członkiem związku sakralnego?» — «*Locus religiosus?*» — Rozumiecie wy to, ludkowie? — To to, widzicie, niewolnik «był przypuszczony do *ius sacrum*». Przeoczył widocznie mój mistrz pouczenie na str. 236 tegoż podręcznika, gdzie czytamy: «*Ius sacrum*, jako część prawa publicznego, obowiązywało wszystkich o b y w a t e l i», a więc nie niewolników. To rzekome *ius sacrum* było w istocie tylko pośmiertną ochroną, podobną do tej, jaką cesarstwo otaczało niewolnika za życia. Posłuchajmy, co o tem *ius sacrum* mówi bystry badacz i doskonały znawca prawa rzymskiego, prof. Stanisław Wróblewski: ...«prawną konsekwencję, że niewolnik jako człowiek zajmuje odrębne stanowisko, uznaje już prawo religijne, które np. miejsce, gdzie pogrzebano niewolnika, uważa za *locus religiosus* i oddaje je *diis Manibus* narówni z miejscem, gdzie pochowano wolnego, wskutek czego w stowarzyszeniach np. pogrzebowych spotykamy niewolników»¹ — za pozwoleniem ich panów, gdyż należenie do takich *collegia* było połączone z wydatkami, a na tym punkcie był Rzymianin, jak wiadomo, bardzo czuły; pozwalał jednak niekiedy niewolnikowi zakupywać miejsce na grób i wstępować do kolegów pogrzebo-

¹ Stanisław Wróblewski: Zarys wykładu prawa rzymskiego. Kraków 1916, str. 244.

wych, bo go to uwalniało od kłopotu zajmowania się pogrzebem niewolnika i opieki nad jego grobem.

Ustęp o «prawach» niewolników kończy prof. B. wykładem ochrony niewolników w epoce cesarskiej i w średniowieczu — w jakim celu? — Ażeby obronić «jakąś niewolę» w dokumencie tyńieckim z r. 1234. Na moje ściśle językowe wyjaśnienie *aliqua servitus* tegoż dokumentu ma prof. B. gotową odpowiedź, czy naukową, nie wiem: «Można było mówić o jakiejś niewoli już w państwie rzymskiem, a tem bardziej w wiekach średnich» — zapewne też i o «jakichś niewolach» w dok. księcia opolskiego z r. 1228. — Ależ tu nie chodzi o to, czy można mówić, czy nie, o jakiejś niewoli lub o jakichś niewolach, lecz o to, co znaczy *aliqua servitus* w dok. tyńieckim z r. 1234. «Jak katechizm w kwestjach teologii, tak elementarz w kwestji nauki nie może wystarczyć» — poucza mię, prostaka, prof. B. — Ależ tak, tak! Oburącz przyklaskuję — tylko że bez elementarnej znajomości łaciny w nauce, t. j. w badaniu średniowiecza, ani rusz.

Str. 450: «Szkoda nawet dotykać powierzchownego i jednostronnego wykładu prof. Cz. o *beneficium*... boć przecie służba wojskowa nie mogła być *beneficium* czyli żupą, t. j. uposażeniem materjalnem jakiegoś urzędnika książęcego» — jak np. *Cracovia* (*beneficium Cracoviae*), *Wratislavia* (*beneficium Wratislaviae*). Oczywiście, ja ze swoim elementarzem łaciny nie mogę jakoś pojąć, żeby Kraków i Wrocław były — książęcymi urzędnikami. A więc zgoda: szkoda nawet tego dotykać.

Natomiast nie mogę nie dotknąć uwłaczającego mojej czei zarzutu nierzetelności, której miałem się dopuścić przez to, żem pominął historyczne wywody prof. B-a. W odpowiedzi tłumaczę, że moja rozprawka stara się zagadnienie naroku oświecić ze stanowiska językowego, że więc pomny trywjalnej przestrogi «*Ne sutor supra crepidam*», w historyczne wywody wdawać się nie mogę. Cóżby w tym razie zrobił człowiek kulturalny? — Oto bez ujmy dla siebie cofnąłby obelżywy a nieuzasadniony zarzut, uczyniony niebacznie w gorączce bojowej człowiekowi, który — przynajmniej — przez pół wieku rzetelnie pracował. Prof. B. postąpił inaczej; zarzutu nierzetelności nie tylko nie cofnął, lecz go nawet rozszerzył na «obecną moją obronę», t. j. na «Odpowiedź», to znaczy, że nierzetelnością z mojej strony jest już sam tytuł mojej rozprawki, a raczej dodatek «w oświeceniu językowym», a nie historycznem. To dziwna, że ten zarzut nierzetel-

ności, popelnionej już w tytule, spotyka mię dopiero w «Replíce», a nie we wcześniejszej «rozprawie» «Jeszcze o naroku». Wtedy przyjęto milcząco «niehistoryczność» mojej rozprawki; teraz w «Replíce» doczepiono mi *ex post* i tę nierzetelność i zrobiono mię w ten sposób dubeltowo nierzetelnym. To już chyba niepotrzebne znęcanie się nad trupem! — Znowu dawna historia: strzyżono gołono. Ja twierdzę, że oświeślał ze stanowiska językowego. — Nieprawda — woła prof. B. — to oświecenie jest historyczne, bo «autor stara się dać konstrukcję historyczną». Ano to i «Dziesięcina in gonitwam» i artykuł «o łazach i łazekach» (w Języku Polskim) są także konstrukcjami historycznymi! Po prostu prof. B. wmawia we mnie, jak w żyda, tę historyczną chorobę, ażeby tylko, broń Boże, krzywdzącego zarzutu nie cofnąć.

Do jednej przecie rzeczy nie mógł się prof. B. nie przyznać, bo juścić «przeciw prawdzie rozumu nie», mianowicie, że «mylnie oddał moje słowa, odnoszące się do kwestyj ściśle językowych», nazywając to «przypadkową pomyłką». Przypatrzmy się bliżej tej pomyłce. Prof. B. utrwalił na papierze, przeczytał przynajmniej w jednej korekcie taką oto «jasną argumentację»: «Narocznik jest stężalym przymiotnikiem od naroczony; musiała więc być wpierw ziemia naroczona; narocznicy uprawiają naroczoną czyli naroczną ziemię. Atoli znów ta ziemia musiałaby się nazywać naroczona, albo naroczyta, a nie naroczna». A z tego wniosek: «Cały ten wywód nie posiada żadnej wartości». Znowu się zgadzam z prof. B., więcej nawet: cały ten wywód, logicznie jasny, świadczy o niepoczytalności naukowej autora — tylko tym autorem nie jestem ja. Wedle prof. B-a cały ten, logicznie zbudowany, wywód jest — «przypadkową pomyłką». Pociesza się prof. B. uwagą: «Ta moja przypadkowa pomyłka nie dotyczy istoty spornej kwestji i nie wpłynęła na mój dowód, co znaczy wyraz narocznik». Jak mogą oczywiście brednie dotyczyć czegoś lub wpływać na coś — trudno pojąć. Ale żeby zatrzeć wrażenie «przypadkowej pomyłki» i znowu pokazać swą wyższość, pogłębia mię prof. B. takim twierdzeniem: «Prof. Cz. nie znalazł żadnego argumentu przeciw mojemu wywodowi, że narocznik oznacza człowieka, podlegającego narokowi, a to jest tutaj istotne i pod względem językowym». — Ależ ja takiego argumentu nie potrzebowałem szukać i wcale też nie szukałem, bo w tem się znowu z autorem kryminalnego naroku zgadzam, że narocznik — to człowiek podlegający narokowi; rozbie-

żność dotyczy dopiero pojmowania wyrazu narok, a co do tego «znalazłem» argumenty, tylko że z takim językoznawcą-odkrywcą trudno się dogadać. — «Przypadkowa pomyłka» nasuwa jeszcze jedną — smutną uwagę. Że ją popełnił, pociesza się prof. B. jak może; że bliźniego ubrał w sukienkę niesłychanego nieuctwa, w której, tak ustrojony, musiał paradować przez całych niemal dwanaście miesięcy, nie zdradza ani słówkiem, że mu to przykro, owszem z miną zadowolonego człowieka, «jakby się najlepiej najadł» (powiedziałby nieporównany Imć P. Pasek), usiłuje zatrzeć ślady swej «przypadkowej pomyłki».

Na str. 655 spotyka mię zarzut (powtórzony), że łączę «pojęcie terminowości, tkwiące w słowie narok, ze świadczeniem danin lub posług», i na dowód przytoczono moje słowa: «...a więc musi to być albo danina, albo osobista posługa». Nawet mało bacznym czytelnik wywnioskuję z tych słów nie łączenie, lecz coś wręcz przeciwnego — rozłączenie danin od posług: albo jedno albo drugie; w logice prof. B-a nazywa się to łączenie. Ba, ale przy końcu rozprawki mówię: «...zwalniano (naroczników) ...od połowy mniej więcej danin na rzecz księcia składanych»... a więc łączę daninę z posługą. Coby też prof. B. powiedział, gdybym o daninach nie wspomniał? — Nie ma pojęcia o stosunkach średniowiecznych, nie zna literatury itd. Otóż wspomniałem o daniach,¹ ale nie dlatego, żebym je łączył z posługą w pojęciu terminowości i tym sposobem wyjaśniał narok, co było zadaniem mojej rozprawki, lecz jedynie dlatego, żeby nie dać fałszywego wyobrażenia o narocznikach, jakoby byli obowiązani tylko do posług bez składania danin. Żeby nie było najmniejszej pod tym względem wątpliwości, dodałem: «Ta terminowa służba wartownicza i t. d.». Prof. B. posiada dziwną metodę filologiczną, zapomocą której wyczytuje nawet to, czego w tekście wcale nie ma.

Zapytałem (str. 648), gdzie ja usiłuję wykazać ten związek «między strażą grodową a zwykłą stróżą lub posadą». Prof. B. zapewnia naprzód czytelnika, że ja to niby z bólem to pytanie zadał. Zapewne, gdybym widział, że mój przeciwnik przy tych różnych łamańcach złamał nogę lub rękę, to oczywiście nie mógłbym się oprzeć uczuciu bólu; nieszkodliwe figle mogą tylko obudzić — śmiech. Ale do rzeczy. Aryjezyk na pytanie, gdzie usiłuję wykazać ten związek, odpowiedziałby: tam i tam. Prof. B. odpo-

¹ Za Z. Wojciechowskim: Momenty terytorjalne organizacji grodowej w Polsce Piastowskiej. Lwów 1924, str. 13.

wiadą pytaniem: «Jeśli prof. C. nie miał na myśli żadnego związku między temi terminami, pocóż w takim razie pisał o *custodia castrorum*, stróża i posada?» — O *sancta simplicitas*! Przeczytać całą rozprawkę z wyraźnym celem jej skrytykowania i nie rozumieć, dlaczego «piszę o *custodia castrorum* stróża i posada» — to przecież lecieć naoslep pod nóż przeciwnika. Zdradzę niepojętą dla prof. B-a tajemnicę. Uczynilem to dlatego, ażeby wykazać, że między temi wyrazami, a więc i pojęciami właśnie niema żadnego związku, mimo że wspólnem ich podłożem jest stróżowanie, i że właśnie dlatego terminowe stróżowanie w grodzie nazwano narokiem, ażeby je odróżnić od straży powszechnej i straży od złodziei. Nawiasowo dodam, że prof. B. zupełnie fałszywie cytuje czy zestawia: «*custodia castrorum*, stróża i posada», co dowodzi, że mych wywodów nie zrozumiał; powinno być *custodia castrorum* (posada) i stróża. — W zakończeniu tego ustępu, wymieniwszy (tym razem wiernie) wyniki moich rozważań, nie sili się nawet na ich zbijanie, lecz odrazu wmawia w «głupiego» czytelnika odpowiedź: «Wobec tego czytelnik łatwo znajdzie odpowiedź, kto tu popełnił nierzetelność». No, ja mam lepsze wyobrażenie o czytelniku i dlatego — zgoda!

Ciekawa i wielce charakterystyczna dla umysłowości prof. B-a jest odpowiedź na mój czwarty zarzut, że prof. B. «identyfikuje narok i stróżę» — oczywiście znowu w formie pytania: «Czyż przytoczone co dopiero nazwanie stróżów myślenickich i śląskich narocznikami nie jest utożsamieniem ich obowiązku stróży z narokiem?» Ależ wręcz przeciwnie: ja nie tylko nie identyfikuję, lecz najwyraźniej odróżniam straż na pogranicznym gródku myślenickim i śląskich *strozones* od straży, pilnującej książęcego mienia. Przecież sam nawet prof. B. nie przypuści, żeby gródka pogranicznego pilnowała straż w obawie, że go złodzieje ukraść mogą. A owiż *strozones* ślascy — toć to obok ratajów, łazeków i poprzętników osobna warstwa ludności, składająca dziesięcinę, gdy tymczasem straż od złodziei była obowiązkiem powszechnym, a nie pewnej warstwy ludności. Ale prof. B. miesza straż o różnem znaczeniu, ażeby tylko wobec niekrytycznego (na takiego liczy) czytelnika wyknać się sianem.

Raz jednak, w końcowym ustępie swej «Repliki» przyznał się prof. B. do nierzetelności (str. 656), ale tłumaczy ją «zbyt daleko posuniętą pobłażliwością dla filologa, nie mającego w gruncie rzeczy pojęcia o pracy historycznej w zakresie średniowie-

cza». *Risum tenealis!* Potraktować kogoś od nieuków i głupców, przypisać mu złą wolę, która z nierzetelnością nic nie ma wspólnego — to się nazywa «zbyt daleko posuniętą pobłażliwością!» Strach pomyśleć, jakby też wyglądała pobłażliwość prof. B-a bez łagodzącego dodatku! W imię nauki proszę, błagam, zaklinam prof. B-a na wszystkie naroki tak czeskie, jak i polskie: niech się już raz pozbędzie tej niegodnej wielkiego męża słabości, niech na własnej skórze poczuje, co to znaczy wdzierać się w monopol językoznawstwa i filologii, którego chorągiew tak wysoko dzierży prof. B.! — Bo że w gruncie rzeczy «nie mam pojęcia o pracy historycznej w zakresie średniowiecza», o tem sam wiem najlepiej i dlatego trzymam się od tej pracy zdala, a tylko prof. B. wmawia we mnie tę «historyczność», jak nie przymierzając bolszewicy w księży katolickich szpiegostwo, ażeby ich mordować. Moje zadanie jest daleko skromniejsze. Pomijając stronę historyczną, staram się wyraz zagadkowy objaśnić ze stanowiska językowego, a następnie po filologicznem zbadaniu odpowiednich tekstów, wydobywam istotną treść i znaczenie tego wyrazu. Jest to cegielka, której jako materiału może historyk do swej konstrukcji użyć, albo ją też odrzucić, ale konstrukcją nie jest, jak to z manjackim uporem wmawia we mnie prof. B. Całe moje nieszczęście, że w tym filologicznym rozbiórce tekstów musiałem się zetknąć z takim znakomitym łacinnikiem i filologiem, za jakiego się ma prof. B. Objasniając np. teksty dokumentu czeskiego... *narok, quod latine vocatur accusatio furum et nocturnorum praedonum*, twierdząc, że czeski narok jest oskarżeniem złodziei i nocnych rabusiów, a więc nie wyrokiem, a tem mniej skazaniem na niewolę i konfiskatę. Cóż na to prof. B.? — Czyni mi dwa zarzuty: 1) że się «nie oparł na wszystkich sześciu podanych tam¹ cytatach ze źródeł czeskich» (które w słowach mniej lub więcej wyraźnych to samo mówią), a 2) że pierwszy cytat «potraktował niesłychanie powierzchownie i jednostronnie» (ulubiony konik-ogólnik prof. B-a). Otóż ciekawa rzecz, jak też sam twórca kryminalnej teorii naroku «potraktował» owe sześć cytatów? — Z cytat tych wynika jasno, że narokiem nazywano w Czechach w XII i XIII w. postępowanie sądowe, mające na celu udowodnienie winy w pewnych wypadkach rozboju i kradzieży». A cóż ma na celu oskarżenie? — Chyba nie udowodnienie niewinności w pewnych wypadkach. Ale rozumie się samo

¹ «Studya nad osadnictwem Małopolski», str. 271—272.

przez się, że to, co powtórzę prostymi słowami dokumentu, musi być «niesłuchanie powierzchowne i jednostronne»; to samo jednak, podlane sosem niby-naukowej frazeologii, jest gruntowne i wszechstronne, a moja «pretensja, żeby mój sąd brać pod uwagę, jest poprostu śmieszna». A jednak temi «śmiesznymi pretensjami» zajmował się prof. B. na 5 stronicach drobnego druku!

«Reasumując», opuścił prof. B. już (może przez zapomnienie?) zarzut pomijania jego wywodów; ale zato przytoczył nowe cztery: «...nie rozumie albo przekręca słowa swego przeciwnika», a nawet — o zgrozo! — «pomija milczeniem albo przekręca swoje własne słowa». — Przypuszcza widać prof. B., że każdy z czytelników Kw-a Hist. musi wyznawać zasadę: *Credo, quia absurdum*.

Tuby był wreszcie koniec arcydzieła polemicznego prof. B-a, nazwanego tym razem właściwem mianem repliki — ale nie koniec mego epilogu. Filologa zaciekawia nie tylko to, co pisarz wyraźnie powiedział, ale także — niekiedy w wyższym stopniu — i to, co nieświadomie lub umyślnie i przeźornie przemilczał. I milczenie ma swoją wymowę; *cum tacet, clamant*. Takich milczących klamancj jest w replice prof. B-a trzy.

1) Powinshawalem w «Odpowiedzi» nowotnemu językoznawcy szczęśliwego odkrycia nieznanych dotąd gramatykom imiesłówów biernych. Cóż na to prof. B.? — Milczy. Ani jednego słówka podziękii. Czyż to nie krzycząca niewdzięczność?

2) Ażeby udowodnić, że w Polsce (jeszcze w XIV w.) *obnoxius* jest niewolnikiem, przytoczył prof. B. ustęp z dokumentu Kazimierza W., w którym ten król dziedzicom Drzeczkowa nadaje przywilej, że *pro obnoxio totam percipiant capitale*. Rozumiecie wy to, ludkowie? — To to, widzicie, «całkowita głównoszczyzna wskazuje, że *obnoxius* był niewolnikiem» (w cudzysłowie własne słowa prof. B-a). Jeden rzut oka na dokument wystarczy, ażeby się przekonać, że wykład badacza i znawcy średniowiecza jest mylny, bo prowadzi z nieubłaganą koniecznością logiczną do takiego absurdu, że nie tylko przypisańcy, ale nawet i wolni kmiecie są — niewolnikami. Na ten zarzut, najcieńszy, jaki można uczynić badaczowi, odpowiedział prof. B. — wymownem milczeniem. «Pobłażliwość», z jaką mię tu potraktował przeciwnik, jest już tak daleko posunięta, że przekracza naprawdę wszelkie granice.

3) Str. 352: «Gdyby prof. Cz. wziął do ręki jakiegokolwiek słownik prawa rzymskiego, toby się dowiedział, że «*obnoxius*» łączy

się przedewszystkiem z drugim przypadkiem np. *o. sententiae*, *o. poenae* lub *obnoxius servitutis*, jak jest właśnie w naszym tekście». Tu już nadęty do niemożliwości pęcherz musiał nareszcie pęknąć. Prof. B. liczył widocznie na to, że nie znam «jakiegokolwiek słownika prawa rzymskiego», z którego sam swe cytaty zaczerpnął. Tymczasem «wziąłem do ręki» ów «jakikolwiek słownik» t. j. słownik Dydyńskiego i «dowiedziałem się», że *obnoxius* (w znaczeniu podległy) ani przedewszystkiem ani wogóle nie łączy się z przypadkiem drugim, lecz tak samo, jak podległy w jęz. pol., z przypadkiem trzecim. Cóż na to w replice prof. B.? — Zawzięcie milczy. Więc jakoś do filologji «nie ma szczęścia» prof. B., «nie udało mu się» (ileż to razy!) z tą filologją; ale to mu nie przeszkadza zarzucać mi «czystą niedorzeczność», gdy mu wykazuję, że jego filologiczny wykład tekstu jest błędny. Tubym mógł jeszcze zarzucić prof. B-i sfalszowanie zwrotu w cytacie: «...*obnoxius poenae* lub *obnoxius servitutis*», którego w słowniku Dydyńskiego nie ma. Ale idąc śladem wspomniałomyślnego przeciwnika, posuwam jak najdalej swą «pobłażliwość» i przypuszczam raczej nieuwagę w stylizowaniu: zamiast «a więc i *obnoxius servitutis*, jak jest w naszym tekście», wymknęło się z pod pióra: «lub *o. servitutis*» itd.

Ale czas już, wielki czas (w najnowszej polszczyźnie bardzo wysoki czyli najwyższy czas) kończyć i «reasumować», bo też mój mieszek już bardzo żałośnie stęka. Mój przeciwnik jeszcze w «reasumpcji» swej repliki zarzucił mi nierzetelność. Ja nie stoję na tym poziomie i źródła tych wszystkich komplementów, w moją stronę skierowanych, nie dopatruję się w nierzetelności przeciwnika, a jeżelim zarzucał prof. B-i nierzetelność, to było to jedynie echo jego zarzutu wedle przysłowia: «Jak w lesie hukniesz, tak ci las odhuknie!» Kiedy mi prof. B. zarzucił «nierzetelność» w jednym wypadku, to ja mu ją wykazał czterokrotnie. Gdzież więc źródło tych niczem nieusprawiedliwionych zarzutów? — Prof. B. jest niezmiernie pracowitym i zasłużonym badaczem, ma też w nauce zapewnione imię. Z pracowitością jednak nie zawsze idzie u niego w parze bystrość badawcza i stąd te częste przeoczenia i pomyłki, do których niekiedy sam się przyznaje lub które prostują inni, młodszy badacze. Ponadto zdobyty pracowicie ogrom wiedzy oszołomił do tego stopnia niebardzo odpornego na pokusę badacza, że będąc w właściwym sobie zakresie jednym z pierwszych, wyobraża sobie, że jest także dosko-

nałym teologiem, językoznawcą, filologiem i prawnikiem, i we wszystkich tych dziedzinach wydaje nieomyślne, jak mu się zdaje, wyroki. A że to natura do pewnego stopnia — nie wiem, jak powiedzieć — pierwotna czy chorobliwa, przeto nie znosi najmniejszego sprzeciwu i wobec odmiennego zdania wpada — we furję; jest to mimo włościańskiego pochodzenia typowy szlachcic z czasów saskich, co to otrzymawszy przykry dla siebie pozew, ze złości zmusza Bogu ducha winnego doręczyciela do zjedzenia nienawistnego papieru. Tu muszę się uderzyć w kadłub i przyjąć część winy na siebie. Pominąwszy już to, że poważylem się przepiłować jedyny filar jego kryminalnej teorii naroku i posługiwać się niekiedy jego własnem słownictwem (n i e r e a l n y, w y c i s n ą ć), co zakrawało poniekąd na przedrzeźnianie, to już owa sławna wędrówka bobrów do Chrzanowa musiała podzielać, jak czerwona plachta w ręku toreadora na arenie. Ale czyż można wstrzymać się od śmiechu, a więc i od żartu, widząc, jak mąż poważny i uczony badacz średniowiecza utyka na gramatyce i popełnia błędy, za któreby uczeń niższego gimnazjum musiał oberwać «trójkę»?¹ Nic nie pomogą wymyślania ani bakałarskie tony wyższości ani sidzińskie nauki; najlepiej na śmiech i żart odpowiedzieć również śmiechem i żartem, lub jeżeli kogo na to nie stać — milczeć, jak to w trzech wypadkach zrobił prof. B. Afekt jest zawsze złym doradcą, a w naukowej polemice — oglupicielem. Przy takim sprzymierzeńcu sprawa jest już zgóry przegrana i sprawdza się mądre słówko mego dobrego znajomka z przed 19 wieków: «*Vana sine viribus ira*», co tak dosadnie z ruska po polsku wyraził W. Potocki: «Serdyty, a nie duży». — «Moralę?» — Tak; jako nauczyciel nauczyciela prof. B-a sędzę, że mam niejaki do tego prawo, i dlatego spodziewam się napewne, że (mówiąc z Tacytem) *aut laudatus ero aut excusatus*.

Jan Czubek.

¹ Zaimek względny *qui, quae, quod* ściąga się na rzeczownik lub zaimek wskazujący bliższy, a więc nie na bobrów (*castores*), lecz na *terminos*: granice, które biegną ku Chrzanowu («Narok» 13). *Fuerunt* nie znaczy: stali się, lecz byli («Narok» 11). Końcówka *ae* jest wspólna przypadkowi 2-mu i 3-mu l. poj., ale tych przypadków nie wolno mieszać ze sobą (Kw. Hist. XL, 382).



